

## **Deszczowy dzień niedaleko wioski zwanej Appeln**

– Wstawaj, Talmond! – Gwałtowne szturchnięcie wybudziło mężczyznę z błęgiego snu. Z trudem otworzył zaropiałe oczy, w gardle czuł suchość spowodowaną wczorajszym pijaństwem. – Wstawaj!

– Co jest? – wychrypiał, starając się zogniskować wzrok. Ujrzał stojącego obok Hasalika, który potrząsał nim, próbując dobudzić.

– W trąby dmą. – Młodzieniec był podekscytowany. W przeciwieństwie do Talmonda, któremu niezbyt spieszyło się do wymarszu. – Powiadają, że bitwa będzie. Zwiadowcy widzieli wojska melbarskie po drugiej stronie doliny.

– Szlag – zaklął starszy z żołnierzy i podniósł się z posłania. W obozie trwał wzmożony ruch. Oficerowie wrzeszczeli na podwładnych, starając się doprowadzić ich do porządku i jak najszybciej przygotować do gotowości bojowej. – Kurwa, ależ mnie łeb napierdala.

– Nie dziwota, wracając, mało nie przewróciłeś namiotu. A pieśń o burdelmamię z Lagenkatt słyszeli pewnie nawet w zamorskim Tiraju – zaśmiał się Hasalik, zwijając koc i pakując go do plecaka.

– Szlag – zaklął ponownie Talmond przypominając sobie wczorajszy wieczór. Wykorzystując znajomość z kwatermistrzem, znacznie uszczuplili wojskowe zapasy piwa i gorzałki. Jednak przecenił swoje możliwości. Taka dawka alkoholu w młodości nie wywarłaby na nim wrażenia. Wczoraj ledwo dotarł do namiotu swego oddziału, a o poranku czuł się, jakby został wypluty przez glizdowca. Z trudem wstał na nogi, czując ogarniające go mdłości i zawroty głowy. Bolały go mięśnie, a w brzuchu coś nieprzyjemnie bulgotało.

- Jak myślisz, dużo ich będzie? - spytał Hasalik.

- Kogo? - Głos Talmonda był chrapliwy, jakby coś tkwiło mu w gardle.

- No, Melbarczyków.

Mężczyzna spojrział na młodzieńca i tylko machnął lekceważąco ręką. Nic nie obchodziły go swary między możnymi. Lata temu zaciągnął się do wojska, szukając przygody. Przypominał wtedy Hasalika. Żadnego walki, chwały, sprawdzenia się w boju. Teraz pragnął jedynie odebrać comiesięczny żołd, wykonując jeno najprostsze wojskowe czynności. Jak mógł starał się unikać walki, zawsze wymyślając jakąś wymówkę, żeby zostać w taborach lub otrzymać lżejsze zadanie, niewymagające narażania życia. Dzisiaj jednak wyglądało na to, że nie zdoła się wymigać od udziału w bitwie.

– Zobacz. – Hasalik wskazał na zbliżający się oddział konnych. – Czy to nie sam hrabia ze świtą?

Talmond rzucił okiem na zbliżających się jeźdźców, ale nic nie odpowiedział. Rozpoznał hrabiego Giacomazziego Bacheta-Barbiera, jego seneszala oraz marszałka de la Roux. Tuż za nimi na białej jak śnieg klaczy jechał Gael Mastrobrandi, mag należący do elitarnej kasty geomantów. Talmond poczuł nieprzyjemne mrowienie w dłoniach. Splunął, chcąc pozbyć się z ust nieprzyjemnego kwaśnego smaku. Zaczął zwijać rzeczy, choć jego ruchy były powolne i ociężałe. Kiedy wielmoże przejeżdżali tuż obok, wciąż powtarzał szeptem pod nosem:

– Szlag, szlag, szlag.

\*\*\*

Jeźdźcy minęli wojskowy obóz i wjechali na górujące nad okolicą wzgórze. Mimo, że było pochmurno i zbierało się na deszcz, rozciągający się widok na porośniętą łąkami dolinę pozwalał dobrze przyjrzeć się przyszlęmu polu bitwy.

– Jak się nazywa tamta wieś? – spytał hrabia Giacomazzi Bachet-Barbier, wskazując skupisko kilku chałup na południowo-wschodnim krańcu doliny.

Seneszal Adalbert spojrział na mapę i odpowiedział po dłuższej chwili:

– Liszaje.

– Hmm... – Hrabia zmarszczył brwi. – A tamta?

Druga z wiosek była odrobinę większa i leżała na przeciwległym krańcu. Już na melbarskim terytorium. Dolina od wieków stanowiła granicę między państwami, a dzisiaj miała stać się areną walk.

– Appeln.

– W takim razie niech potomni zapamiętają ten dzień jako bitwa pod Appeln. – Bachet-Barbier wyprostował się w siodle i sięgnął po przytroczoną przy jukach lunetę. Giacomazzi zakupił ten niezwykły przedmiot podczas niedawnej wizyty w jednym z portowych miast na Wybrzeżu Muszli. Przyłożył przyrząd do oka i spojrzał.

– Wojska melbarskie też są już w gotowości – powiedział po kilkuminutowej obserwacji.

Rzeczywiście, na przeciwległym krańcu doliny można było dostrzec maszerującą wrogą piechotę oraz spory oddział ciężkozbrojnej jazdy, stanowiący trzon wrogiej armii. Oddziały zbliżały się do Appeln, gdzie najprawdopodobniej miały zaczekać na ruchy przeciwników.

– Wszyscy dowódcy wiedzą, co mają robić? – spytał Giacomazzi, choć wiedział, że przedstawiony na wieczornej naradzie plan ofensywy został nakreślony bardzo wyraźnie.

Marszałek polowy Ferhat de la Roux wyprostował się w siodle i odpowiedział dumnym głosem:

– Tak jest, panie hrabio. Zwycięstwo będzie nasze.

Giacomazzi spojrzał na marszałka. Mężczyzna przygryzał wargi, potrząsając przy tym sumiastym wąsem. Obserwował dolinę, a na jego twarzy nawet dziecko zdołałoby dostrzec zdenerwowanie. Miała być to pierwsza bitwa pod jego komendą, dlatego też bardziej doświadczony Bachet-Barbier wziął na siebie większość przygotowań. Młody de la Roux, był potomkiem marszałka Reynala, który dowodził wojskami, kiedy Lezmont władał jeszcze ojciec hrabiego. Choć tytuł nie przechodził dziedzicznie, Giacomazzi postanowił dać mu szansę. Nie spodziewał się, że okazja do wykazania się na polu walki nadejdzie tak szybko. Niesnaski pomiędzy władcami Melbaru i Lezmont nie należały do rzadkości,

jednak ostatnimi czasy nasiliły się kiedy władzę w Melbarze przejął Earvin Lorimer. Buńczuczny władca podbijał kolejne miasta na swej północnej granicy, wykorzystując wojnę domową w tamtejszych krajach. Zresztą po rzezi, jakiej dokonał na mieszkańcach Lapaggio, włodarze sami otwierali przed nim bramy.

Po udanych podbojach Lorimer zwrócił swą uwagę na bogate ziemie należące do Lezmont. Na szczęście Bachet-Barbier zdołał umieścić w Melbarze szpiega, stąd wiedział o planowanym ataku na jego ziemie. Giacomazzi spojrzął na wkraczające do doliny wrogie wojska i wydał rozkaz:

– W takim razie zaczynamy.

W tym momencie z nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Początkowo niewielka mżawka, szybko przerodziła się w coraz większą ulewę.

\*\*\*

– Tatko, tatko! – Tibor wparował do chałupy, krzycząc już od progu. Chłopak był wyraźnie podekscytowany, o czym świadczyły zaczerwienione policzki. – Wojska idą.

Goljak zamarł z łyżką w połowie drogi między miską a ustami. Krzątająca się przy kuchni Irma aż pisnęła ze strachu.

– Co ty gadasz, synku? – spytała przestraszona. – Jakie wojska?

– Na sztandarach mają czerwone poroże na niebieskim tle. Chłopaki powiadają, że to knechci z Melbar.

Irma spojrzała na męża, który odłożył łyżkę do miski z niedojedzoną owsianką i kiwnął głową. Goljak przez wiele lat służył w wojsku. Stoczył dziesiątki bitew i potyczek. Odnosił rany, zabijał, oplakiwał kamratów i przepijał łupy. W końcu po latach tułaczki osiadł w Appeln, gdzie poznał Irmę. Zakochał się i założył rodzinę. Hodował owce, pracował na

roli, dbał o dom. Odnalazł swoje miejsce na świecie. Żył w spokoju, ciesząc się każdym przeżytym dniem.

Aż do dzisiaj.

– Budź Silkę i spakuj najpotrzebniejsze rzeczy. – Goljak wstał i powiódł smutnym wzrokiem po chałupie. Po miejscu, w którym żył przez ostatnie piętnaście lat. Appeln leżało na granicy, jednak mężczyzna nie przypuszczał, że do ich spokojnego domostwa dotrze wojna. Zbyt wiele razy widział, co działo się z wioskami leżącymi na trasie przemarszu wojsk. Zbyt wiele razy sam uczestniczył w plądrowaniu, paleniu i gwałtach. Podszedł do stojącego w rogu kufra. Uchylił wieko i otworzył ukryty pod nim schowek. Wyjął schowany tam lata temu miecz. Rękojeść pełna była nacięć, każde symbolizowało zabitego w boju wroga. Wciąż dobrze leżała w dłoni. Goljak odwrócił się do przerażonej żony i powiedział: – Musimy uciekać.

\*\*\*

*Ależ chce mi się lać*, pomyślał Talmond, maszerując wraz z resztą oddziału. Przez poranne zamieszanie, kaca oraz ogólny pośpiech zapomniał udać się na stronę i opróżnić pęcherz. Teraz było już na to za późno. *Szlag*, mężczyzna po raz kolejny przeklął własną głupotę i roztargnienie. Jakby tego było mało, z nieba siąpił deszcz, zmieniając podmokły teren w grząskie błoto. Krople uderzały w szyszak, potęgując i tak nieznośny ból głowy.

Piechota schodziła w dolinę w karnym szyku. Najpierw maszerowali ciężkozbrojni tarczownicy, za nimi szli włócznicy, wśród których przebywał Talmond, a pochód zamykali łucznicy oraz niewielka grupa kuszników. Na flankach armii krążyła lekka jazda licząca jednak co najwyżej kilkadziesiąt koni. Jeźdźcy stanowili także awangardę, a gdy dotarli właśnie do zabudowań jednej z dwóch położonych w dolinie wiosek, przeganiali mieszkańców z chałup i wysyłali na wzgórze, do taborów i opuszczonego obozu wojska.

Oddziały minęły wioskę i rozciągnęły się na szerokość doliny. Skrzydła armii chronione były przez porośnięte gęstymi lasami zbocza. Można już było dostrzec przegrupowujące się po przeciwnej stronie doliny szeregi wrogich jednostek.

– Sporo ich – szepnął Hasalik. Entuzjazm rozpierający go jeszcze godzinę temu zdawał się wygasać im bliżej było do bitwy.

Talmond mruknął tylko coś w odpowiedzi. Nacisk na pęcherz stawał się coraz bardziej nie do wytrzymania. *Za chwilę popuszczę i będzie wstyd przed całym pułkiem*, pomyślał mężczyzna.

– Gotować się do boju! – krzyknął pułkownik Sykora. – Wpierw włócznie, za nimi tarczownicy! Musimy utrzymać linię!

– Łatwo ci, kurwa, powiedzieć! – Głos Talmonda zniknął w ogólnym zgiełku panującym wśród przegrupowujących się żołnierzy.

Przeciwnicy nie czekali, aż oddziały przyjmą pozycję obronną. Zagrały trąby, a ziemia zaczęła drżeć. Wroga jazda ruszyła do szarży.

– Nie cofać się! – Pułkownik Sykora zagrzewał żołnierzy.

Tętent był coraz głośniejszy. Talmond wyjrzał zza tarczy stojącego przed nim żołnierza i ujrzał kilkuset rycerzy w pełnych zbrojach galopujących prosto na nich. Chwytał włócznie mocniej i zaparł się o ziemię. Przez chwilę zapomniał nawet o tym, jak bardzo chce mu się lać.

\*\*\*

– Atakują. – Seneszał Adalbert był wyraźnie podekscytowany. – Ich jazda szarżuje na nasze linie.

– Niech łucznicy rozpoczną ostrzał – rozkazał marszałek de la Roux. Stojący obok trębacz zadął w róg.

Przez padający deszcz widoczność ze wzgórza nie była najlepsza, jednak dawała jako taki wgląd w pole bitwy. Hrabia Bachet-Barbier wraz ze swiłą obserwował rozwój wypadków.

Łucznicy napięli łuki i wypuścili pierwszą salwę. Strzały nie wyrządziły większych szkód szarżującym rycerzom. Ledwie kilku z nich spadło z wierzchowców. Większość strzał ześlizgnęła się po napierśnikach i zbrojach opancerzonej jazdy. Podobny skutek przyniosła kolejna salwa. Było jasne, że w ten sposób atak nie zostanie powstrzymany.

– Czas zagrać odrobinę nieczysto. – Giacomazzi uśmiechnął się pod nosem, pomimo że marszałek de la Roux zdawał się być zaniepokojony rozwojem wypadków. – Gael, zajmij się tym.

Trzymający się dotychczas z tyłu geomanta, zsiadł z konia i podszedł do zbocza wzgórza. Zrzucił z głowy kaptur. Jego łysa głowa w momentalnie zaczęła lśnić w padającym deszczu, a okalający ją złoty diadem błyszczał nienaturalnym blaskiem. Mastrobrandi klęknął i zaczął powtarzać tajemniczą inkantację w nieznanym języku. Przyłożył ręce do zmokniętej ziemi i zanurzył w niej dłonie. Zaśpiew stawał się coraz głośniejszy, a hrabia Bachet-Barbier miał wrażenie, że wzgórze, na którym przebywają, zaczyna drżeć.

– Spójrzcie. – Adalbert wskazał palcem dolinę.

Ziemia pod stopami szarżującej jazdy zaczęła się poruszać. Wybrzuszać i zapadać, stała się miękka i grząska. Przerazone konie upadały, zrzucając ciężkozbrojnych jeźdźców i przygniatając ich swoim ciężarem. Wśród atakujących rycerzy wybuchła panika. Część zaczęła się wycofywać, większość topiła się w zdradliwym gruncie jak w rozszalałym od sztormów morzu. Nieliczna grupa dotarła do pozycji obronnych, jednak wytracając swój impet, szybko została stłamszona. Atak rozbił się o tarcze, a rycerze i wierzchowce zostali zakłuci włóczniami i mieczami piechoty.

Gael Mastrobrandi wstał i zachwiał się. Jego blada twarz i puste oczy zdradzały skrajne wyczerpanie. Giacomazzi podszedł do geomanty i poklepał go z zadowoleniem po plecach.

– Świetnie się spisałeś. – Mag skinął tylko głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. – Adalbert, odprowadź go do obozu i niech zajmie się nim felczer.

– Niesamowite – powiedział marszałek de la Roux kiedy seneszał wraz z geomantą już się oddalili. – Nie spodziewałem się, że ten człowiek włada aż taką mocą.

– To prawda. Gael posiada nieocenione talenty. – Hrabia spojrzał na resztki uciekającej wrogiej jazdy i uśmiechnął się szeroko. – Udało nam się przejąć inicjatywę. Trąbicie do ataku.

\*\*\*

Milda od zawsze uwielbiała szyc. Od dziecka pomagała mamie, która pracowała jako szwaczka. Z czasem sama przyjęła się w szwalni, a wieczorami dorabiała sobie dokonując poprawek krawieckich dla bogatych dam z Lezmont. Nie przypuszczała jednak, że pasja do szycia przywiedzie ją do szpitala polowego, tuż za polem bitwy, który zaraz miał się zarość od rannych.

– Zaczęło się – powiedział Raso, jeden z noszowych. Pociągał z fajki napakowanej suszonymi źdźbłami, roztaczając wokół siebie aromatyczny zapach. Źdźbła pozwalały się uspokoić, koły nerwy i oddalały troski. Były bardzo popularne wśród uboższej ludności, Milda również niejednokrotnie ich próbowała. Teraz również miała ochotę wypełnić płuca słodkim dymem, jednak wiedziała, że musi zachować trzeźwość umysłu. – Walczą.

Rzeczywiście. Z doliny niosły się pierwsze odgłosy bitwy. Zagrzewające do boju okrzyki, szczęk broni oraz jęki rannych. Milda przełknęła ślinę i z trudem opanowała drżenie rąk.

Ze wzgórza przyprowadzono im pierwszego rannego. Nie był to jednak żołnierz, a wysoki, łysy mężczyzna, ze złotym diademem na głowie. Seneszał Adalbert, którego dziewczyna wielokrotnie widywała w Lezmont, położył ślaniającego się mężczyznę na stole i pytająco spojrzał w stronę Mildy.



– Zajmijcie się nim. Muszę wracać do hrabiego.

– Oczywiście. – Dziewka spłoniła się, chłopak był naprawdę przystojny.

Podeszła do rannego, który jednak nie miał na ciele żadnych widocznych obrażeń. Miał otwarte oczy i spoglądał na zbliżającą się Mildę przytomnym, byстрым wzrokiem. Emanowała od niego przedziwna energia, wywołująca mrowienie w koniuszkach palców oraz gęsią skórkę.

– Nagotuj wody i przynieś zioła. Aloes, pokrzywę, sówie ziele oraz liście miretki. A do naparu dodaj tego. – Drżącą dłonią podał jej fiolkę wypełnioną gęstą, granatową substancją.

Dziewczyna o nic nie zapytała. Kiwnęła tylko głową i oddaliła się w poszukiwaniu składników.

\*\*\*

Talmond cieszył się, że nie atakuje w pierwszej linii. Widział, jak biegnący przed nim piechurzy nadziejają się na mur tarcz i włóczni. Padający deszcz sprawił, że kilku żołnierzy poślizgnęło się na grząskim podłożu, przewracając się i wywołując rozgardiasz w szeregach atakujących. Talmond skrył się za stojącym z przodu tarczownikiem i starał się złapać oddech. Stojący obok Hasalik dźgał włócznią, wydzierając się przy tym w bitewnym amoku. Zbryzgana krwią, błotem i deszczem twarz młodzieńca wykrzywiona była gniewnym grymasem.

– Napierać! – Wśród bitewnej wrzawy przebił się donośny głos pułkownika Sykory. – Atakować!

Talmond wychylił się zza zasłony i również dźgnął. Włócznia utkwiała w ciele przeciwnika, a kiedy żołnierz próbował ją wyrwać, drzewce pękło z trzaskiem. Stracił równowagę i upadł, ryjąc twarzą w błocie. O mało nie został stratowany przez biegnących

do ataku żołnierzy. Potrącili go kilka razy, kiedy próbował wstać. W końcu mu się udało. Dobył tkwiącego za pasem krótkiego miecza i ruszył przed siebie.

Na atakujących kompanów posypał się grad strzał. Dokoła Talmonda padło z jękiem kilku żołnierzy. Podniósł upuszczoną przez kogoś tarczę i zasłonił się nią przed pociskami. Kilka strzał odbiło się od osłony, ale jeden z grotów zdołał ją przebić, o włos chybiając jego twarzy.

– Nie przestawać! – Sykora ciągle się wydzierał. – Atakować!

Talmond czekał, aż ostrzał minie. W ferworze walki zapomniał o pełnym pęcherzu, lecz nacisk nasilał się z każdą chwilą. Dokoła jęczeli ranni, konający wzywali na pomoc swe matki oraz prosili o błogosławieństwo Pradziada. Jeden z żołnierzy kroczył przez pobojuwisko z co najmniej pięcioma strzałami wbitymi w różne części ciała. Inny rzucił się do panicznej ucieczki, odrzucając bojowy topór i tarczę. W końcu potknął się i upadł trafiony strzałą w głowę, a jego martwe oczy wpatrywały się prosto w Talmonda.

– Kurwa mać – zaklął, odrzucił tarczę, mocniej ścisnął rękojeść miecza i z okrzykiem rzucił się w wir walki.

\*\*\*

– Zatrzymali nasze natarcie. – Marszałek Ferhat de la Roux zacisnął gniewnie szczęki.  
– Wykorzystali kamienny mur i zabudowania wioski jako fortyfikacje.

– Każcie łucznikom ostrzelać wioskę płonącymi strzałami – rozkazał hrabia Bachet-Barbier. – Pomimo ulewy powinno to wprowadzić zamieszanie w ich szeregi.

– Tak jest! – Marszałek kiwnął głową i ruszył w stronę gońca.

Giazomazzi był cały przemoczony. Podszyty gronostajowym futrem płaszcz stał się ciężki, a ozdobny kirys zdawał się przeciekać i przywierać do ciała. Bachet-Barbier poruszył się w siodle, nie chcąc zdradzać przed podwładnymi, że doskwiera mu ulewa.

Walczący w dolinie żołnierze mieli przecież o wiele gorzej. Dojrzał powracającego Adalberta, seneszał był odrobinę zziębnięty i również przemoczony.

– Odprowadziłem Mastrobrandiego do szpitala polowego. Felczerzy zajmą się nim z należytą starannością.

Hrabia kiwnął głową i spojrzał w stronę Appeln. Patrzył na zwartych w boju żołnierzy, zawzięcie atakujących wroga oddziały. Dźgających włóczniami, tnących mieczami. Zabijających i ginących w strugach deszczu. *Gdzie do diaska podziewa się Molder*, myślał intensywnie Bachet-Barbier, wpatrując się w pole bitwy.

\*\*\*

Wśród lezmonckich oficerów krążyły pogłoski, że stanowisko kapitana hrabiowskiej gwardii jest przeklęte, a każdego, kto je obejmuje czeka niechybna śmierć. Daylon Lanzerac zginął podczas oblężenia Montcasson, jego następcą Barthez podczas potyczki z Tirajczykami, a poprzednik Moldera, Driant, zmarł otruty podczas zamachu na hrabiego w winnicy Faberagoli. Mimo to, mężczyzna cieszył się, że mógł dostąpić tego zaszczytu. Był to wielki honor dla niego samego, a także dla rodziny, która dzięki temu miała wspiąć się wyżej w arystokratycznej hierarchii.

– Żwawiej! – krzyknął do jadących z tyłu żołnierzy. – Bitwa już trwa. Nasi kamraci oczekują pomocy.

Molder popędził wierzchowca i wysforował się na czoło oddziału. Ponad dwustu rycerzy tworzących doborową gwardię hrabiego Bachet-Barbiera również przyspieszyło, na ile pozwalał im porośnięty karłowatymi drzewami i krzakami teren.

Słysząc już było odgłosy bitwy. Oddział po wykonaniu manewru oskrzydłającego zbliżał się do doliny, aby wyjść na tyły wroga i zadać ostateczne uderzenie. Krew tętniła w żyłach Moldera, czuł podniecenie wywołane zbliżającą się walką, w której będzie mógł udowodnić męstwo oraz zdobyć sławę. Oczami wyobraźni widział już swój triumfalny powrót do Lezmont. Mieszkańców miasta skandujących jego imię, zalotne spojrzenia

młodych dziewcząt i zazdrość konkurentów. *Ach, szybciej, szybciej do bitki, do boju, ku chwale*, myślał podekscytowany.

Zza zarośli, można już było dostrzec wozy taborów melbarskiej armii pilnowane ledwie przez kilkunastu nieuzbrojonych chłopów, którzy pierzchli, gdy tylko ujrzeli zbliżających się konnych.

Oddział stanął u wylotu doliny. Krople deszczu z głuchym bębnieniem odbijały się od rycerskich zbroi, tworząc złowrogię staccato. Molder wyciągnął miecz i wskazał nieodległą wioskę, w której widać było walczących żołnierzy.

– Szarża! – ryknął i trącił konia ostrogami.

Ziemia była rozmokła, więc podkute wierzchowce nie mogły przejść do galopu. Zapadały się i ślizgały na grząskim gruncie, przedłużając moment ataku. Obrońcy zdążyli ich dostrzec. Jakiś sprawny oficer skrzyknął kilkudziesięciu żołnierzy i wykorzystując zabudowania wioski jako umocnienia, nakazał zająć pozycje obronne. Kilka z budynków płonęło, potęgując panujący w Appeln chaos. Zajeżyło się od włóczni, gizarm, spis i berdyszy. Na atakujących posypał się grad strzał, które jednak odbijały się od ciężkich zbroi, hełmów i pancernych końskich kropierzy.

Zabudowania były coraz bliżej. Jeźdźcy mogli już dostrzec wykrzywione w bojowym szale twarze obrońców. Molder sparował uderzenie włóczni i wpadł między przeciwników, roztrzaskując ich i taranując. Rozorał twarz wysokiemu żołnierzowi, który zamierzał się na niego spisą. Ciął po plecach innego, który starał się strącić atakującego rycerza z końskiego grzbietu. Krew tryskała dokoła, mieszając się z padającym deszczem. Zdziesiątkowana szarżą piechota starała się skupić w kilkusobowych grupach, aby odeprzeć atak. Gwardziści jednak nie mieli litości, wykorzystując przewagę pancerza i uzbrojenia, metodycznie mordowali obrońców.

Koń ślizgał się na coraz bardziej rozmokniętym podłożu. W końcu wierzgnął ugodzony w bok grotem włóczni. Molder zachwiał się i upadł, uderzając się boleśnie w głowę. Spróbował wstać, jednak został przygnieciony ciałem rannego rumaka. Zdołał jeszcze dostrzec zbliżających się piechurów. Ostatkiem sił odbił uderzenie gizarmy, miecz wypadł mu z dłoni. Jeden z obrońców zamachnął się najeżoną kolcami maczugą. Hełm wygiął się, czaszka pękła z trzaskiem, a Molder nawet nie zdał sobie sprawy, że umiera.

\*\*\*

– Musimy być cicho. – Goljak przyłożył palec do ust i spojrział w kierunku rodziny. Szczególnie długo patrzył na Tibora. Chłopak był podekscytowany bliskością bitwy i chciał zobaczyć walczących żołnierzy.

Udało im się opuścić wioskę, tuż przed przybyciem melbarskich żołnierzy. Skryli się wśród głązów w lesie porastającym zbocze doliny. W miejscu dostatecznie oddalonym od toczących się walk, ale pozwalającym obserwować, jak rozwija się sytuacja.

A na ten moment Appeln stało się główną areną bitwy. Melbarscy piechurzy zajęli pozycje obronne, wykorzystując zabudowania wioski i odpierali ataki żołnierzy ze znakami hrabiego z Lezmont. Kilka chałup stanęło w ogniu, jednak z tej odległości Goljak nie mógł rozpoznać, czy jest wśród nich jego rodzinny dom. Trwały zaciekle walki, przez las niosły się złowrogie echa potyczki. Irma zasłaniała córce uszy, dziewczyna drżała na całym ciele, wystraszona przez przerażające odgłosy. Wciąż ktoś wzywał pomocy, jęczał z bólu, przeklinał bogów lub prosił o błogosławieństwo. Szczęk oręża mieszał się z dźwiękiem przecinanych ludzkich ciał. Goljak znał te dźwięki aż nazbyt dobrze. W przeciwieństwie do żony i córki czuł się wśród nich jak ryba w wodzie. Towarzyszyły mu przez wiele lat, i mimo że w Appeln spędził już dość czasu, by zatarły się w pamięci, wystarczyła jednak chwila, aby powróciły ze zdwojoną siłą.

Mężczyzna bacznie obserwował przebieg bitwy. Musiał przyznać, że oficerowie z Lezmont dobrze zaplanowali jej przebieg. Na tyły melbarskiej armii uderzyła konnica. Atak rycerzy ostatecznie przełamał obronę. Piechota rozpierzchnęła się. Część zbiła się ciasne grupki, kontynuując walkę, inni rzucili broń i poddali się. Jeszcze inni natomiast zaczęli umykać z pola bitwy.

Na skraju lasu Goljak zauważył sylwetki kilku uciekających żołnierzy. Było kwestią czasu zanim trafią do kryjówki jego rodziny. Z doświadczenia wiedział, że dezercerzy są o wiele bardziej niebezpieczni niż regularna armia. Nie cofną się przed niczym, żeby przetrwać. Będą ratować się kradzieżą, morderstwami, brutalnymi gwałtami, wszystkim,

aby ocalić własną skórę. Mężczyzna spojrział na córkę, która wciąż była uspokajana przez Irmę. Gdyby kobiety były tu same, stanowiłyby łatwy łup dla pierzchających dezertarów. Goljak uśmiechnął się smutno do córki i podjął decyzję.

– Zostańcie tu i nie ruszajcie się – powiedział szeptem do Irmy i dzieci. Chwycił miecz i wstał. Wyślizgana przez lata użytkowania rękojeść idealnie leżała w dłoni, zdawała się być jej przedłużeniem. Oczy Irmy błysnęły ze strachu, jednak wiedziała, że jej protest jest bezcelowy.

Goljak wyszedł zza skały dokładnie w momencie, w którym znaleźli się przy niej dezertarzy. Było ich trzech, w tym jeden ranny. Trzymał się za rozharatane udo, tuż pod kolczą koszulą. Najstarszy z żołnierzy, z siwymi, sumiastymi wąsami nie namyślając się długo, zaatakował. Goljak uniknął ciosu szybkim półobrotom i ciał napastnika przez plecy. Odskoczył przed próbą ataku drugiego z żołnierzy. Ostrze spisy, o włos minęło jego szyję. Mężczyzna skontrował. Melbarski piechur cofał się przed ciosami, aż w końcu stracił równowagę, zahaczając o korzeń. Upadł, spisa wypadła mu z dłoni, a Goljak podszedł do niego i wbił ostrze miecza prosto w otwarte usta. Odwrócił się i dojrzał, że siwy wstaje i próbuje uciekać. Dopadł do niego w kilku susach i podciął mu gardło jednym, sprawnym ruchem.

Odwrócił się w stronę rannego, który klęczał kilka kroków dalej z mieczem trzymany w drżącej dłoni. Nie mógł uciec, utrata krwi z rany na udzie była zbyt duża. Żołnierz był młody, blady i przerażony. Gdy Goljak się zbliżał, oczy coraz bardziej rozszerzały mu się z przerażenia. Cios był szybki, chłopak nie powinien nawet poczuć bólu. Krew trysnęła na okoliczne drzewa, a także na wyglądającego zza skały Tibora. Goljak dopiero teraz dostrzegł, że masakrze przyglądał się jego syn.

Otarł klingę zerwanym liściem łopianu i schował miecz. Spojrział smutno na syna. Podszedł bliżej i zmierzwił mu włosy, nie mówiąc ani słowa. Chłopak drgnął, bezwiednie przyglądając się trupom, a Goljak wiedział, że syn nigdy już nie będzie myślał o nim tak jak wcześniej.

\*\*\*

Pobojowisko zmieniło się w krwawe bagno. Zmieszana z krwią, deszczem i wnętrzościami ziemia była grząska i śliska. Talmond z trudem utrzymał równowagę, odskakując od ciosu, który próbował zadać olbrzymi Melbarczyk. Żołnierz dzierżył w dłoni długą gizarmę i wywijał nią, chroniąc się od oblegających go wrogów.

Hasalik chciał doskoczyć do przeciwnika i zadać mu ostateczny sztych. Melbarczyk był jednak dobrze wyszkolony i mimo znaczącej przewagi, nie poddawał się. Zamachnął się i grot gizarmy zahaczył twarz chłopaka, tuż pod hełmem. Trysnęła krew, a Hasalik upadł w błoto, ostatkiem sił próbując odpełznąć od zdesperowanego przeciwnika. Nie czekając, Talmond zaatakował. Uchylił się przed zabójczym uderzeniem i przeorał brzuch Melbarczyka. Do rannego doskoczyło kilku kolejnych żołnierzy, kłując go włóczniami, aż w końcu olbrzym wydał ostatnie tchnienie.

Dokoła bitwa dogasała. Większość melbarskich wojaków uciekła lub oddała się do niewoli. Ostatnie grupki i pojedynczy maruderzy kontynuowali skazaną na przegraną walkę, dożynani przez krążących wśród zabudowań wioski konnych, a także przeszukujących budynki piechurów.

Talmond podszedł do rannego Hasalika i schylił się nad chłopakiem. Na szczęście wciąż oddychał, choć rozharatana twarz wciąż krwawiła. Policzek był głęboko rozcięty, tak że widać było biel zębów wewnątrz.

– Wstawaj, młody – powiedział Talmond, starając się podnieść chłopaka. Wzrok młodzieńca był mętny, wyglądało na to, że Hasalik zaraz straci przytomność. – Zabiorę cię do felczera. Pozszywa ci bużkę i będziesz mógł się chwalić dziewczkom, jaki z ciebie dzielny wojak.

Chłopak zabełkotał w odpowiedzi, a na jego pokiereszowanej twarzy wykwitło coś na kształt uśmiechu, stanowiąc dość makabryczny widok. *Nie jest więc z nim tak źle*, pomyślał Talmond i, chwytając rannego pod ramię, zaczął iść w stronę obozu.

Dokoła wciąż trwało pobitewne zamieszanie, które potęgował wciąż padający deszcz. Wszędzie jeździli konni, żołnierze nawoływali swych kompanów, dowódcy starali się

zaprowadzić porządek i przegrupować oddziały. Noszowi wynosili rannych oficerów z pobojuwiska.

– Świetna robota! – Tuż obok posuwającego się wolno Talmonda znalazł się pułkownik Sykora, niesiony na noszach przed dwóch starszych mężczyzn. Noszowi wyglądali jakby ledwo mogli go udźwignąć, ponieważ mieli już swoje lata, a pułkownik nie należał do ułomków. Jego kirys był wgnieciony i zakrwawiony, jednak Sykora nadal podnosił żołnierzy na duchu: – Nie daliśmy im szans! Wspaniały, wzorcowy atak!

W końcu noszowi wyprzedzili wolno poruszającego się Talmonda, choć krzyki pułkownika niosły się jeszcze przez kilka chwil. Na szczęście Hasalik pozostawał przytomny, więc była nadzieja, że rana nie jest śmiertelna, a jedynie oszpeci chłopaka.

Czując coraz większe parcie na pęcherz oraz schodzące napięcie związane z bitwą, Talmond przyspieszył kroku. W oddali, tuż za krańcem doliny, dostrzegł bielące się namioty szpitala polowego.

\*\*\*

– Zwycięstwo jest nasze, panie hrabio. – Marszałek Ferhat de la Roux nie krył podekscytowania, a pod sumiastym wąsem wykwitł mu szeroki uśmiech. – Melbarska armia rozbita w pył. Manewr oskrzydający przechylił szalę, a kapitan Molder świetnie się spisał, szarżując na tyły wroga. Sądzę, że można będzie go podać do odznaczenia...

– Kampania się jeszcze nie skończyła. – Giacomazzi przerwał słowotok marszałka. – Rozbiliśmy gros melbarskich sił, jednak przeciwnik wciąż jest groźny. Nigdzie nie widziałem chorągwi Lorimera, więc na pewno mają jakieś odwody. Za doliną czekają na nas dwie dobrze obsadzone twierdze, które musimy zdobyć, nim ruszymy na stolicę.

– Oczywiście – gorliwie przytaknął de la Roux. – Twierdze Vaux i Rudno według słów szpiegów nie są silnie obsadzone, jednak mają grube mury i są położone w strategicznych miejscach.



– Doskonale o tym wiem – odpowiedział Bachet-Barbier. Ostatni raz spojrział w stronę wioski zwanej Appeln, gdzie właśnie dogasała bitwa. Widział żołnierzy zbierających rannych i zabitych, odprowadzających jeńców i przegrupowujących się. Był dumny i zadowolony z wyniku walki. Odnieśli druzgocące zwycięstwo przy, zdawało się niezbyt wysokich własnych stratach. – Marszałku de la Roux, proszę ruszać do oddziałów. Wiem że żołnierze są wyczerpani po wielogodzinnym boju, ale przed zachodem słońca wojska muszą opuścić dolinę i wyruszyć w kierunku twierdzy. Jeśli zwyciężymy, wynagrodzę ich poświęcenie. W twierdzy Rudno znajduje się melbarski skarbiec. Przekażcie wojakom, że połowa jego zawartości będzie należeć do nich.

– Tak jest, panie hrabio! – Ferhat spiął konia i popędził w dół zbocza, w stronę Appeln.

– Adalbert. – Giacomazzi odwrócił się w stronę swego seneszala. – Pchnij gońca do Yerwo Schnauza i jego bombardierów. Niech szykują się do oblężenia. Ja tym czasem sprawdzę, jak czuje się Gael.

Kiedy seneszał się oddalił, hrabia również zjechał ze wzgórza i ruszył w kierunku namiotów szpitala polowego. Padający od kilku godzin rześisty deszcz osłabł, przechodząc powoli w drobną mżawkę. *Pogoda zmienia się trochę za późno*, pomyślał Bachet-Barbier, zdążyła utrudnić życie żołnierzom podczas potyczki.

W pobliżu szpitala polowego trwał wzmożony ruch. Pokrzykiwania felczerów i noszowych mieszały się z jękami rannych i konających. Hrabia zsiadł z konia i w skupieniu przyglądał się pracy wykonywanej przez lekarzy i ich pomocników. Obserwował blondwłosą dziewczynę, która z ogromną wprawą zszywała nieprzytomnemu żołnierzowi ranę na ramieniu. Ujrzał również Gaela, który podawał jeden ze swoich słynnych naparów leczniczych jakiemuś oficerowi. Geomanta wyglądał już o wiele lepiej, najwidoczniej bardzo szybko udało mu się zregenerować siły.

– Raso!!! – Giacomazzi usłyszał głos blondwłosej. Skończyła szyc i otarła spocone czoło, rozmazując sobie na nim smugę krwi. Podbiegł do niej jeden z noszowych i odebrał jakieś instrukcje. Dziewczyna tymczasem podeszła do kolejnego rannego. Z uciętego kikuta lewej dłoni mimo opatrunków przesączała się krew. Zaczęła go opatrywać, a kiedy rozglądała się w poszukiwaniu czystych bandaży, jej spojrzenie przez chwilę skrzyżowało

się ze wzrokiem hrabiego. Bachet-Barbier kiwnął głową i patrzył jak blondwłosa powróciła do swych obowiązków.

*Dzielna dziewczyna*, pomyślał hrabia. *Oby więcej takich poddanych żyło na moich ziemiach*. Giacomazzi odszedł kilka kroków od namiotów i wziął głęboki oddech. Dopiero teraz poczuł zawroty głowy spowodowane dochodzącymi ze szpitala polowego zapachami medykamentów i śmierci.

Zobaczył powracających z pola walki dwóch żołnierzy. Starszy z nich, utyłany w błocie i krwi, ledwie prowadził rannego, który z trudem przebierał nogami. Zataczali się i chwiali. Widać było, że brakuje im sił, a zmęczenie i trudy walki dały się we znaki. Bachet-Barbier podbiegł do wojaków i chwycił rannego pod drugie ramię. Wspólnymi siłami doprowadzili tracącego przytomność żołnierza do namiotów szpitalnych, gdzie szybko zajęła się nim blondwłosa dziewczka. Kątem oka hrabia zdołał uchwycić, że opatrywanego przez nią wcześniej żołnierza z odciętą dłonią, nie udało się uratować. Jego ciało leżało pod jednym z namiotów, na wciąż powiększającej się stercie.

– Szlag, szlag, szlag... – Giacomazzi usłyszał przekleństwa starszego żołnierza, który z niepokojem przyglądał się, jak dziewczyna zszywa rozcięty policzek młodszego kolegi.

– Świetnie się spisaliście, żołnierzu. – Bachet-Barbier poklepał mężczyznę po plecach, chcąc dodać mu otuchy i podnieść morale. – Jak się nazywasz?

– Talmond. – Żołnierz odpowiedział dopiero po chwili, jakby wydarzenia docierały do niego z pewnym opóźnieniem. – Na imię mi Talmond, panie hrabio.

– Wystąpię dla was o odznaczenie, po zakończeniu kampanii – kontynuował Giacomazzi. – Może macie jakieś specjalne życzenia? Jestem w stanie godnie wynagrodzić swych najmężniejszych wojowników.

Talmond podniósł wzrok i spojrzał hrabiemu w oczy.

– Muszę się odlać – powiedział i chwiejnym krokiem odszedł w stronę pobliskiej olszyny.

\*\*\*

Główne wojska opuściły Appeln na godzinę przed zmierzchem. W dolinie jednak ciągle widać było pojedynczych jeźdźców, podążających za armią łżej rannych, a także wozy taborów toczące się z trudem po rozmokniętym od krwi i opadów gruncie.

W końcu przestał padać deszcz, a do wciąż tłących się i śmierdzących zgliszcz wioski zaczęli wracać mieszkańcy. Goljak wyłonił się z lasu jako pierwszy, z dłonią wciąż zaciśniętą na mieczu. Rozglądał się podejrzliwie, jednak wyglądało na to, że rodzinie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Dał znak i żona wraz dziećmi również opuścili kryjówkę. Schował broń i pospiesznie ruszył w stronę swej chałupy.

Dom był nadpalony, najwyraźniej strzecha zajęła się od płonących strzał, ale została ugaszona przez padający deszcz. Jedna ze ścian pokryta była czerwonymi smugami, a drzwi zostały wyważone i całkowicie połamane. Wnętrze również było zniszczone. Połamano stół, szafki, z kuchni wysypały się węgle. Podłoga pokryta była błotem i krwią, w rogu leżało potrzaskane stylisko topora oraz poszczerbiony miecz. Najwyraźniej chałupa stała się areną walki.

Do środka weszła Irma wraz z Silką i Tiborem. Chłopak od czasu masakry w lesie nie odezwał się ani słowem. Zawsze gadatliwy i żywiołowy, teraz wodził pustym wzrokiem po wnętrzu i trzymał się matczynej spódnicy.

– Niech Prababka nam pomoże – jęknęła Irma, rozglądając się po zdewastowanym wnętrzu.

Goljak tymczasem schował miecz do kufra, który na szczęście pozostał nienaruszony podczas walk. Spojrzał na swoje pokryte krwią ręce, potem na swoją rodzinę, schylił się i zaczął zbierać połamane deski od stołu.

– Co robisz? – spytała Irma, do której wciąż nie docierało, że bitwa się skończyła i udało im się przetrwać.

– Trzeba tu posprzątać – odpowiedział ściszym głosem Goljak. Odchrząknął i dodał: – Już po wszystkim, możemy znów normalnie żyć.

